

Odkodować folklor. Rozmowa z Bogdanem Brachą

To nasza trzecia rozmowa, spotykamy się równo co 8 lat.

Bogdan Bracha: Pamiętam, że raz rozmawialiśmy w Jaworniku zaraz po nagraniu naszej płyty „Kraina Bojnów”, w idealnym miejscu, bo tamta nasza płyta była poświęcona Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie, a drugi raz rozmawialiśmy o Rezerwacie Pustki.

Na czym zasadza się inność tej płyty, która właśnie się ukazała?

Niech to ocenią słuchacze. Dla nas – zespołu niszowego, którym nie rządzą prawa wielkiej estrady, jest to zamknięcie pewnego etapu, a zarazem otwarcie nowego. To taki kamień milowy.



„Mody i kody” – okładka płyty Orkiestry św. Mikołaja

Dotychczas nagraliśmy kilka płyt różniących się od tego, co można nazwać „brzmieniem Orkiestry”, lecz mimo to słuchacze twierdzili, że zawsze byliśmy zespołem rozpoznawalnym. Mam nadzieję, że teraz też tak będzie. Wszystko jest bowiem na swoim miejscu – akustyczne brzmienie, wiele instrumentów, dużo śpiewu i tekstu, który niesie treść, a to jest dla mnie ważnym elementem budowy płyty.

Zaś nawiązując do tytułu krążka „Mody i Kody” należy stwierdzić, że z dużą swobodą krążymy po muzycznych modach, czerpiemy z różnych stylów współczesnej muzykalności. Kody zaś odwołują się do fragmentów bardzo znanych piosenek, np. „Umarł Maciek umarł już leży na desce”, „Jedzie, jedzie Mazureczek”, „Chodźcie, chodźcie, nam was tutaj potrzeba” czy „Cyt cyt matka śpi, cyt cyt ojciec śpi”. Na bazie tego rozpoznawalnego polskiego muzycznego DNA budujemy nowe opowieści, bo przecież „Jedzie, jedzie Mazureczek” to niekoniecznie jest piosenka o Mazureczku.

Czy muzycznie ta płyta jest bardziej nowoczesna? Ostatniego lata miałem okazję was widzieć na plenerze w Krośnie i usłyszeć kilka nowych utworów, zabrzmiały zupełnie inaczej...

Tak naprawdę kiedyś także graliśmy z podobną zasadą, tylko przez ponad dwadzieścia lat zmieniła się nasza muzykalność i warsztat. Staramy się nawiązywać do tego, co nas fascynuje, słuchamy różnej muzyki i to zapewne da się zauważyć.

Nowe poszukiwania?

Inspiracje przynoszą głównie ludzie, nasi muzycy. Jestem trochę trenerem-selekcjonerem, to po części wynika z roli, jaką pełnię – lidera zespołu. Kieruję ludźmi, którzy tworzą muzykę, powoduję, aby ta muzyka powstawała z tych ludzi.



Orkiestra św. Mikołaja. Fot. Andrzej Polakowski

Nieprzypadkowo użyłem słowa selekcjoner – mam kolegę, zapalonego trenera siatkówki – zajmuje się młodzieżą, jest ideowcem, który wierzy w to, że pracując z 10-latkami buduje przyszłą kadrę. O dziwo, mamy bardzo wiele wspólnych problemów. Koncert zespołu to jest taki trochę mecz. Siatkówka jest dyscypliną, gdzie świetny mecz przeplata się z tym w gorszej dyspozycji. Z koncertami i grą na nich jest podobnie, z tym że jeśli drużyna jest dobra, to zwykle gra te świetne mecze.

Jest takie pojęcie, które bardzo mi się podoba, a które ostatnio ukuliśmy – didżej tradycji. To, co my robimy, jest łączeniem różnych wątków, przypomina pracę didżeja, który miksuje różne płyty, utwory i tworzy nową jakość.

Wydaje mi się, że definiują i określają was góry. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że teraz większość inspiracji czerpicie spoza gór. Czy jednak wasza muzyka byłaby taka, jaka jest, gdyby nie góry?

Nie byłaby. Przytoczę słowa naszego kolegi z zespołu – Marcina Skrzypka: „folk drogą, wędrowką, wyprawą”. Gdy wychodzimy w góry, wyjeżdżamy z naszego miasta, przechodzimy metamorfozę, takie oczyszczenie. Tę przemianę daje nam już nawet podróż np. pociągiem – jesteśmy inni, gdy z niego wysiadamy.

W tym momencie warto zastanowić się też, czym jest turystyka. Niezależnie od czasów, w których funkcjonuje, stanowi poszukiwanie wolności. W początkach Orkiestry, jeszcze w innym ustroju, jeździliśmy w Bieszczady szukać wolności, równości, by zapomnieć o szarości PRL. Tam każdy był bratem, można było o wszystkim rozmawiać, a zarazem zachować anonimowość. Ale i dzisiaj wyjeżdżając daleko też szukamy wolności, tylko na szczęście w innym, niepolitycznym wymiarze.

Nasze poszukiwania górskie były także odnajdywaniem świata tradycji i tam jej dotykaliśmy. Beskid Niski i Bieszczady pobudziły nas do działania, do refleksji nad tradycją, kulturą i krajobrazem. Później na Huculszczyźnie mieliśmy możliwość dotknięcia żywej kultury tradycyjnej.

Kilka lat temu w „Dzikim Życiu” pojawił się artykuł na temat rezerwatu Pustki. Wokół tego rezerwatu Marcin Skrzypek wymyślił coś takiego, jak Muzeum Tradycji Bieszczadów. Chcieliśmy pokazać, że Bieszczady miały ogromny wpływ na kulturę ogólnopolską, tam wielu twórców i naukowców dosłownie, chodząc po górach, odkryło siebie. Ktoś dzięki temu został botanikiem, poetą, fotografikiem, a w naszym przypadku padło na muzykę i kulturę.

Jak postrzegasz góry po tych kilkudziesięciu latach, od kiedy pierwszy raz w nich zagościłeś?

Zmieniły się, bo zmienił się nasz kraj, rozwinęła się infrastruktura. Nie oceniam jednak tej zmiany w kategoriach: źle – dobrze. Mogę używać nowoczesnego sprzętu, który umożliwia wędrówkę. Ale że i tak nie lubię być zamykany w koncepcji szlaku turystycznego, zdarza mi się często chodzić w różnych miejscach. Góry wciąż fascynują.

Czyli zmiany nie powodują niemożliwości odnalezienia tego czegoś, co kiedyś odnajdywałeś?

Oczywiście, że nie, bo to jest związane z pełnym kontekstem. Kiedyś bazy studenckie miały dla nas niezapomnianą atmosferę. Ale i teraz są takie miejsca – ostatnio syn zaprowadził mnie do kultowego klubu w Wetlinie, który zrobił na mnie wrażenie. To jest ten kontekst, który przypomniał mi to, co w innych miejscach odnajdywałem kiedyś, mimo tego, że dzisiaj młodzi ludzie zachowują się inaczej niż my dawniej.

Natomiast górską „wyrpą” pozostaje taka jak kiedyś. Teraz też są góry, na które nigdy się nie dochodzi, całkiem jak w piosence turystycznej „Pomyśl, ile niespełnionych marzeń kryje w sobie pożegnanie gór”. Zawsze tak będzie. Ciągnie nas w góry chęć sprawdzenia, zmierzenia się ze sobą. A to, że czasem w górach nie udaje nam się osiągnąć tego, co zamierzaliśmy, to paradoksalnie nas wzmacnia i pozwala nam żyć. Daje marzenia na przyszłość. Pod tym względem góry się nie zmieniły.

Oczywiście i dziś mamy problemy związane z ochroną przyrody, z zagospodarowaniem przestrzennym czy sprawami jak np. powinna funkcjonować „Chatka Puchatka”. Ale 30 lat temu mieliśmy w Bieszczadach „Igloopol”...

Czy masz w sobie jakiś niepokój o góry?

Jest tyle gór, w których nie będę, a chciałbym być. To mnie trochę pogrąża, staram się z tym walczyć i gdy tylko mogę, to jestem w górach.

Boję się, aby w góry nie ingerowano, ale z drugiej strony jestem przeciwnikiem myślenia, żeby zabraniać zmieniania czegokolwiek definitywnie. Zresztą mimo interesowania się tradycją wcale nie jestem taki tradycyjny. Mam świadomość, że jesteśmy w nieustającym rozwoju i ma on swoje uzasadnienie. Jeszcze raz wrócę do naszej koncepcji rezerwatu Pustki. To była idea, aby zachować ruiny w pokrzywach właśnie po to, żeby inni mogli je w nich odkrywać, żeby dać szansę odkrywaniu tych ruin. Niech każdy sam znajdzie tę studnię i cokolwiek po krzyżu. Niech doświadczy siły takiego „odkrycia”, które może pobudzić wyobraźnię. Niech dotknie zagadki i wtedy pojawią się w nim pytania. Poszukiwanie odpowiedzi może być bardzo twórcze. Chodzi o to, aby każdy mógł doświadczyć tego, co my i te osoby, które stały się ważnym elementem kultury ogólnopolskiej.

Czy ta koncepcja sprzed 8 lat, związana z rezerwatem Pustki, jakoś się zmieniła?

Ciągle odwiedzamy to miejsce, ale nie ma to już tak formalnego wymiaru jak wtedy. Tą ideą zakończyliśmy naszą działalność w Jaworniku. Rezerwat Pustki był eksperymentem, teraz to zamknięty etap. Włożyliśmy w niego sporo pracy, aktywizowaliśmy ludzi z tamtych okolic, zostawiliśmy im ten pomysł. Jednak okazało się to zbyt śmiałym planem. Z naszej strony był to głos w dyskusji nad ochroną miejsca we wsi Jawornik.

Może jednak właśnie te pokrzywy, o których mówiłeś, dają życie tej koncepcji?

Trochę jednak żal, że nie dało się zrealizować naszych planów. Na szczęście są podobne miejsca gdzie indziej, np. w dolinie Wetliny. Jest tam taki napis - „Wchodzisz do nieistniejącej wsi Łuh”. To mi przypomina realizację naszego pomysłu na rezerwat Pustki.

W waszym repertuarze mocno reprezentowany jest zestaw utworów związanych z terenem Beskidu i Bieszczadami. Czy są jeszcze z tego obszaru tematy muzyczne, które mogłyby zostać przez was zrealizowane?

Tak. Mamy nawet taką płytę „Lem-agination”, na której zaprezentowaliśmy się w składzie typowej kapeli karpackiej. Projekt zakładał żeby zagrać tylko na skrzypcach i basach, rozszerzyliśmy skład o skrzypaczkę z Zagórza. Zagraliśmy na tej płycie nawet utwory pochodzące od emigrantów łemkowskich, którzy, gdy przyплыnęli do USA, nagrywali je na wałki woskowe - dziś to perły fonografii. Przekaz tradycji to, wbrew pozorom, zbiór inspiracji dążący do nieskończoności. Szczególnie gdy istnieje możliwość dodania do źródeł kreacji artystycznej - co my śmiało robimy.

Szukam w tradycji i kulturze pewnych synergicznych rejonów. Najbardziej fascynuje mnie to, co łączy, a nie to, co dzieli. Nie kręci mnie to, jakie czapki i z jakimi piórami mieli Krakowiacy, a jakie Rzeszowiacy, zwracam zaś uwagę na to, że Huculi, Rumuni lub Aborygeni mieli takie same pióra, jak Krakowiacy.

Cała kultura ludowa zamyka się w kilkudziesięciu wątkach - mnie interesuje to, że takie same piosenki są w jidysz, po ukraińsku, polsku, z pogranicza czesko-polskiego itd. Dlatego m.in. tworzymy taką muzykę, jaką tworzymy.

Ogólnie biorąc nasze eksperymenty z muzyką polską coraz bardziej prowadzą do tego, że ta muzyka coraz mniej ją przypomina. W przypadku zaś łemkowskiej trend jest odwrotny - coraz bardziej dążyliśmy do wiernego jej odtworzenia.

Odchodzi ostatnie pokolenie ludzi, którzy pamiętają Beskid Niski i Bieszczady sprzed czasów, które diametralnie zmieniły te tereny. Czy świadomość tej zmiany, która miała miejsce 70 lat temu, przyczyniła się do szczególnego postrzegania tych terenów?

To była kwestia zasadnicza, ale warto jednak podkreślić, że poznaliśmy te tereny 30-40 lat po tamtych wydarzeniach. Dla nas zawsze była to taka Atlantyda. Nawiążę do słów Franciszka Kotuli, rzeszowskiego etnografa: „tak naprawdę wstrząsnąć wyobraźnią może tylko obcowanie z żywym folklorem albo z miejscem, gdzie umarł”.

Te słowa idealnie oddają prawdę o miejscach, które dzisiaj są bardziej podobne do swojej postaci sprzed 30-40 lat niż do tej sprzed ponad 70.

Krajobraz kulturowy odżywa. Są turyści, którzy szukają takich miejsc. Ostatnio byłem na Roztoczu. Nasz kolega, były muzyk Orkiestry, Stefan Darda, obecnie znany pisarz grozy, który pisze moim zdaniem bardzo folkowe książki, w jednej z nich, której akcja toczy się w okolicach Guciowa i Zwierzyńca, wprowadził do fabuły różne nazwy - Słoneczna dolina, Czarny wygon, Starzyzna. O dziwo, dzięki tej książce doprowadził do zaistnienia tych nazw na lokalnych mapach. Podobnie jest

w Bieszczadach, wspominałem o kultowej wetlińskiej „Bazie ludzi z mgły”, to są te nowe konteksty, o tym też pisał Kotula. Po prostu tradycja, żeby ożyła, musi mieć nowy kontekst.

Gdy jesteś w górach, to bardziej sercem czy umysłem?

Pewnie jednym i drugim. Góry odbieram całym sobą, lubię wracać do miejsc, w których byłem, pokazywać je innym i opowiadać o nich. Mam ze sobą książki, które czytam, aby jeszcze więcej wiedzieć o górach. Uwielbiam przede wszystkim po górach chodzić, mam więcej czasu na to, aby kontemplować odwiedzane miejsca.

Lata 90. to w Polsce czas popularności folku.

Marcin Skrzypek stwierdził wtedy: „Jest moda na folk, ale folk nie jest modą” – i tutaj pojawia się nasza rola. Otóż nigdy nie traktowaliśmy folku jako nie wiadomo czego, dlatego nie pokonało nas prawo wielkiej kariery, gdzie się bardzo wysoko wchodzi, a potem często szybko i boleśnie spada. Folk jest dla nas czymś więcej, nie chcę, aby zabrzmiało to zbyt patetycznie, ale folk jest naszym sposobem na życie.

Czy zauważasz na scenie folkowej jakieś nowe zjawiska, trendy?

Praktycznym miernikiem jest organizowany przez nas konkurs w ramach festiwalu „Mikołajki Folkowe”. Rekord frekwencyjny zgłoszeń do niego wcale nie wypadł podczas „mody na folk”, ale 4-5 lat temu, co nas samych zaskoczyło.



Fot. Grzegorz Bożek

30 lat temu, gdy zaczynaliśmy przygodę z folkiem, niewiele wiedzieliśmy na jego temat, potrafiliśmy trochę grać na gitarach i flecie. Dzisiejsi adepci folku to inne pokolenie, urodzone już w czasach, gdy w Polsce istniało kilka ważnych zespołów na tej scenie, ci ludzie mają już często na starcie bardzo dobry warsztat i umiejętności muzyczne.

Wreszcie dziś mamy takie nurty, który nie wiążą się z tradycją Kolbergowską, lecz z pewnym brzmieniem, wykorzystaniem konkretnego instrumentarium, stanem świadomości i ducha, wcale nie z takim folkiem jak ten, który nas zbudował, ale np. ze światem fantasy, Tolkienem czy pradawną słowiańszczyzną, jest też mocno reprezentowany nurt metalowy czy tradycje celtyckie osadzone

blisko punka.

Czyli folk w Polsce ma się dobrze?

Tak, zdecydowanie.

Nie myślałeś o jakiejś książce o waszej działalności, wszak niebawem będzie jej 30-lecie?

Słyszałem takie pomysły, ale obecnie nie mam głowy do tego, jak to zacząć. Sam nie czuję się na siłach, ale może kiedyś? Na razie mamy jeszcze coś innego do zrobienia.

Dziękuję za rozmowę.

Lublin, 8 stycznia 2016 r.

Bogdan Bracha - założyciel i lider Orkiestry św. Mikołaja, muzyk, animator kultury. Pracuje w Akademickim Centrum Kultury Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Organizator Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Ludowej „Mikołajki Folkowe” oraz Festiwalu Piosenki Turystycznej i Studenckiej „Bakcynalia”. Współtworzy „Pismo Folkowe”.